

ks. Marek Dziewiecki

## Pojednanie owocem miłosierdzia

### Wstęp

Każdy człowiek pragnie być szczęśliwym. Każdy z nas chce żyć w harmonii z Bogiem, z samym sobą i z bliźnimi, bo to warunek życia w radości. Cierpimy wtedy, gdy zrywamy więzi z Bogiem, albo gdy nasze więzi z bliźnimi stają się zaburzone czy bolesne. Początkiem trudności w relacjach z innymi jest zwykle utrata harmonii w relacji człowieka z samym sobą. W jakimś stopniu każdy z nas dostrzega „rozdarcie w sobie samym, z czego z kolei tyle i tak wielkich rozdzwieńków rodzi się w społeczeństwie” (*Gaudium et spes*, nr 10). Doświadczamy bólu i niepokoju, gdy ktoś ma do nas żal, a także wtedy, gdy to my mamy żal do innych osób. W każdej z tych sytuacji błogosławieństwem jest pojednanie, gdyż tylko wtedy mamy szansę znowu – a czasem po raz pierwszy w życiu – cieszyć się więziami opartymi na przyjaźni i zaufaniu.

Termin „pojednanie” rzadko występuje w Piśmie Świętym. Nie spotykamy go w ogóle w Starym Testamencie. W Nowym Testamencie o pojednaniu najwięcej pisze św. Paweł w Liście do Rzymian (por. Rz 5) i do Koryntian (por. 2Kor 5). Biblia potwierdza, że istnieje ścisły związek między nieposłuszeństwem wobec Boga, a krzywdami w relacjach międzyludzkich i dramatycznymi nieraz podziałami w małżeństwie, rodzinie, sąsiedztwie,

społeczeństwie czy między narodami. Sobór Watykański II przypomina, że rozbitcie więzi międzyludzkich wynika z zachwianiem równowagi i brakiem pokoju w sercu poszczególnych ludzi. Pojednanie jest darem Boga i owocem Jego zbawczej inicjatywy (por. J 1,20; Rz 5,10; Kol 1,20-22). Ta inicjatywa dopełnia się w tajemnicy Chrystusa Odkupiciela, który wyzwala człowieka z grzechu i przekazuje Kościołowi władzę jednania (por. 2Kor 5,18).

### 1. Pojednanie z miłosiernym Bogiem

Każdy z nas potrzebuje pojednania z Bogiem z wielu powodów. Dwa z tych powodów są najczęstsze i najgroźniejsze, gdyż najbardziej radykalnie niszczą naszą więź ze Stwórcą. Powód pierwszy to chowanie się przed Bogiem czy wręcz ucieczka od Boga na skutek naszych grzechów i wyrzutów sumienia. Im bardziej ktoś błądzi, tym częściej usiłuje sobie wmówić, że jeśli tylko oddali się od Boga, albo uwierzy, że Boga nie ma, to wtedy będzie mógł łamać Dekalog „bezproblemowo” i bez żadnych konsekwencji. Zwykle ci, którzy – jak Adam – chowają się przed Bogiem z powodu swoich grzechów, dorabiają sobie jakąś ideologię po to, by „usprawiedliwić” ucieczkę przed Stwórcą. Pewien student oznajmił mi, że odszedł od Boga i że już w Niego nie wierzy, gdyż Kościół wyrządził i wyrządza ludziom

straszne krzywdy. Wobec takiego postawienia sprawy uśmiechnąłem się do mego rozmówcy i stwierdziłem, że jestem o niego spokojny, gdyż skoro jest wrażliwy na cierpienie człowieka, to nigdy nie będzie ateistą. Zaskoczony moimi słowami student zapytał, dlaczegoż to nie miałby się stać ateistą? Wtedy wyjaśniłem, że nie pozwoli mu na to właśnie ta jego wrażliwość na krzywdy i cierpienia ludzi, gdyż nigdy w historii ludzkości tak niewielka grupa, jaką stanowią ateści, nie zadała tak wielkich cierpień niewinnym ludziom. W samym tylko XX wieku i w samej tylko Europie dwa totalitarne systemy walczące z Bogiem – komunizm i faszyzm – w bestialski sposób zamordowały kilkadziesiąt milionów niewinnych ofiar. W dalszej części rozmowy mój rozmówca sam przyznał, że zaczął chować się przed Bogiem wtedy, gdy zaczął coraz bardziej krzywdzić samego siebie oraz dziewczynę, która mu zaufała.

Drugim, obok grzechu, powodem zrywania czy zniekształcania więzi z Bogiem jest obarczanie Go odpowiedzialnością za całe zło tego świata. Zwykle tendencja ta przejawia się w zarzucaniu Bogu, że zsyła na nas jakiegoś bolesnego cierpienie, zamiast pomagać nam żyć w radości, albo że przynajmniej takie cierpienie dopuszcza, chociaż w swej wszechmocy mógłby i powinien nas przed tym, co boli, skutecznie uchronić. Niezależnie od tego, jaki jest konkretny powód oddalania się od Boga i zrywania przyjaźni z Nim, konsekwencje stają się zwykle szybko widoczne i okazują się coraz bardziej dramatyczne. Im bardziej bowiem oddalamy się od Boga, tym bardziej jesteśmy wydani na pastwę naszych własnych słabości czy na łaskę i niełaskę innych ludzi. Gdy oddalamy się od Boga, czyli Tego, który jako jedyny w pełni nas rozumie i który jako jedyny gwarantuje nam na krzyżu, że nigdy nie przestanie nas kochać, wtedy pustkę po Nim usiłujemy zappełnić więzią

z samym sobą, z drugim człowiekiem, albo z jakąś rzeczą, w której zaczynamy pokładać całą nadzieję. Zniszczona czy zniekształcona więź z Bogiem prowadzi do tego, że zniszczone lub boleśnie zniekształcone stają się nasze więzi z samym sobą, z bliźnimi i z otaczającą nas rzeczywistością. Kto myśli, że będzie szczęśliwie żył bez przyjaźni z Bogiem, ten podobny jest do niemiłosiernego dla samego siebie poszukiwacza szczęścia, który natarczywie szuka radości tam, gdzie nie można jej znaleźć.

Skoro grzech jest pierwszym i najczęstszym powodem zerwania więzi z Bogiem, to pierwszym i koniecznym warunkiem pojednania z Bogiem jest nawrócenie. Jedynie ten, kto się odwrócił od zła i grzechów, kto tu i teraz zaczął kochać, a przez to nie oddala się już od Boga, ani nie krzywdzi człowieka, może owocnie podjąć trud pojednania. „Nie ma takiej winy, nawet najcięższej, której nie mógłby odpuścić Kościół święty. Chrystus, który umarł za wszystkich ludzi, pragnie, by w Jego Kościele bramy przebaczenia były zawsze otwarte dla każdego, kto odwraca się od grzechu” (KKK, nr 982). Bóg nie chce, by człowiek grzeszny zadreślał się, lecz by się nawracał i odzyakiwał przyjaźń z Bogiem, z samym sobą i z bliźnimi. Nawrócenie możliwe jest jedynie w oparciu o miłość. Ze strachu przed karą czy piekłem można się jedynie chować przed Bogiem i uciekać przed własnym sumieniem, albo popaść w rozpacz. Kryterium nawrócenia jest miłość, a nie jedynie pragnienie, by powstrzymywać się od czynienia zła. Nawrócić się to zacząć kochać, lub kochać bardziej niż dotąd. Bez tak rozumianego nawrócenia nie jest możliwy proces pojednania z Bogiem, gdyż Bóg jest miłością, a nie jedynie brakiem zła.

Zwykle pojednanie z Bogiem redukuje do obowiązku nawrócenia, czyli do zrobienia uczciwego rachunku sumienia, do szczerego żalu

za popełnione zło, do wypowiadania się, do postanowienia poprawy i zażegnania za wyrządzone krzywdy. Te wszystkie aspekty są oczywiście koniecznym warunkiem, by pojednanie z Bogiem stało się możliwe i by w ogóle się zaczęło, ale nie gwarantują jeszcze pełni tegoż pojednania. Są one punktem wyjścia, ale nie punktem dojścia w procesie pojednania. Pojednanie z Bogiem to coś więcej niż nawrócenie i zamknięcie grzesznej przeszłości. Pełnia pojednania ze Stwórcą dokonuje się dopiero wtedy, gdy człowiek bez wahania i wątpliwości odkrywa i uświadamia sobie fakt, że Bóg jest niewinny, że to nie On jest sprawcą naszych trudności, cierpień, krzywd, bólu czy różnych innych form doświadczanego zła i borykania się z ciężarem życia w doczesności.

To nie przypadek, że wielu chrześcijan myśli, iż to Bóg zsyła nam krzyże i cierpienia. Gdy nie słuchamy Boga i gdy w konsekwencji krzywdzimy samych siebie i bliźnich lub gdy ktoś z innych ludzi nie słucha Boga i krzywdzi nas oraz samego siebie, wtedy łatwiej jest nam pogodzić się z myślą, że to, co bolesne, pochodzi od Boga niż uznać, że oto sami sobie wyrządzamy krzywdę lub że oto krzywdzi nas małżonek, ojciec czy matka, syn czy córka, brat czy siostra, narzeczony czy narzeczona albo ktoś inny z ludzi, komu zaufaliśmy i kogo traktowaliśmy jak wiernego przyjaciela. W obliczu cierpienia łatwiej jest rzucić winę na niewinnego Boga niż uznać naszą własną odpowiedzialność czy odpowiedzialność naszych bliskich za zło i cierpienie, które pojawia się w naszym życiu. To, co bolesne, jest konsekwencją tego, że przychodzi nam kochać niedoskonale ludzi, że my sami grzeszymy – jak syn marnotrawny – lub że jesteśmy naiwni i pozwalamy, by nas krzywdzili ci, którzy nie chcą lub nie potrafią kochać. Czasem doświadczamy zupełnie niewinnego cierpienia, lecz także wtedy nie jest ono wolą Boga. Zwykle

za niewinnym cierpieniem jednego człowieka kryje się wina innego człowieka lub skutki grzechów poprzednich pokoleń – począwszy od Adama i Ewy.

Popatrzmy na konkretne przykłady sytuacji, w których przychodzi pokusa, by obarczać Boga odpowiedzialnością za cierpienia i krzyże, które pochodzą od ludzi. Jeśli jakiś mężczyzna popadł w alkoholizm, narkomanię, erotomanię czy hazard i na skutek uzależnienia zadaje niewyobrażalne cierpienie samemu sobie i swoim bliskim, to łatwiej będzie mu twierdzić, że oto Bóg do takiej strasznej sytuacji dopuścił czy ją wręcz zesłał, niż że to on sam sobie i swoim bliskim taką gehennę zgotował. Podobnie jeśli jakaś żona odkrywa, że oto zdradza ją mąż, to łatwiej jej będzie uwierzyć w to, że to Bóg zesłał jej takiego męża i taki krzyż, niż że to ona może zbyt pochopnie związała się z tym mężczyzną czy że po ślubie zaczęła popełniać błędy i że częściowo także ona jest odpowiedzialna za kryzys w małżeństwie. Jeszcze jeden przykład to sytuacja, w której krzywdzi nas ktoś, kto jest silniejszy od nas, na przykład pracodawca czy agresywny sąsiad, który sprawuje jakąś ważną funkcję i dlatego czuje się bezkarny. Łatwiej wtedy protestować przeciw Bogu niż przeciw rzeczywistemu krzywdzicielowi, gdyż Bóg się nie zemści, a bezduszny pracodawca czy zły sąsiad może nam wyrazić kolejną krzywdę. Im bardziej nasze życie – z naszej czy bez naszej winy – wiąże się z krzywdami i cierpieniem, z rozczarowaniem i bólem, tym większą mamy skłonność, by obarczać Boga odpowiedzialnością za taką sytuację. Dopóki jednak myślimy, że to Bóg zsyła nam to, co bolesne i co odbiera nam radość życia, dopóty nie jesteśmy z Nim pojednani. Także wtedy, gdy się nawracamy i staramy się tu i teraz żyć zgodnie z Dekalogiem.

Pojednać się z Bogiem w pełni może tylko ten człowiek, który wie, że Bóg zsyła nam jedynie swojego

Syna, czyli Prawdę, Miłość i Radość. Wszystko inne pochodzi od ludzi i od złego ducha. Bóg nie komu nie ześle czegoś bolesnego. Stwórca nigdy nie ześle nam czegoś, przed czym wzbierał się Jego ukochany Syn w ludzkiej naturze. To właśnie dlatego pojednać się z Bogiem w pełni może tylko ten, kto bez wahania uzna, że Bóg nie odpowiada za żadną formę cierpienia. Pojednać się z Bogiem do końca to uznać, że wszystko to, co w moim życiu i w życiu innych ludzi jest bolesne, nie pochodzi od Niego. To z całą mocą powiedzieć sobie, że od mojego poczęcia Bóg wziął mnie z miłością i że nigdy mnie kochać nie przestanie. Pojednać się z Bogiem to odkryć, że w każdej fazie mojego życia Bóg pomagał, pomaga i będzie mi pomagał swoją obecnością i miłością, abym szedł drogą błogosławieństwa i życia, a nie drogą cierpienia i agonii. Pojednać się z Bogiem to uznać, że On wie, iż cierpienie jest dla nas groźne, bo tak wielu ludzi prowadzi do załamania i rozpacz, do buntu wobec Stwórcy i do samobójstwa. Pojednać się z Bogiem do końca to odkryć, że On nie zsyła nam nawet tego cierpienia, z którego mądrze korzystamy i które mobilizuje nas do nawrócenia, jak to miało miejsce w przypadku syna marnotrawnego. Żadne cierpienie nie jest zamierzone przez Boga. W każdym natomiast cierpieniu Bóg pomaga nam swoją obecnością i miłością, byśmy okazali się silniejsi od tego cierpienia i nie ulegli rozpacz.

Pojednać się do końca z Bogiem to odkryć, że trwał On przy nas i że kochał nas także w tych sytuacjach czy w tych latach naszej historii, w których z jakichś względów byliśmy subiektywnie przekonani, że nas nie kochał, że o nas zapomniał, że kochał nas mniej niż innych ludzi albo że mógł nas kochać i pomagać nam bardziej, niż to czynił. Pojednać się z Bogiem to uświadomić sobie, że jeśli w jakimś okresie mojego życia wydawało mi się, że Bóg za mało okazywał mi swoją obecność i

miłość, to przyczyna takiego odczucia leżała po mojej stronie. To moja postawa lub to postawa innych ludzi sprawiała, że zamykałem się na znaki obecności Boga w moim życiu i że nie wierzyłem w Jego miłość. Pojednać się z Bogiem to uznać, że za zerwanie z Nim więzi całkowita odpowiedzialność leży po stronie człowieka.

Czy jednak to nie sam Jezus wyjaśnia, że przynajmniej niektóre cierpienia i krzyże pochodzą od Boga. Przecież mówi wprost: Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje" (Mt 16,24). W tym stwierdzeniu Jezusa o wzięciu krzyża najważniejsze jest słowo: *swój!* Chodzi o krzyże dźwigane przez słuchaczy Jezusa, a nie o Jego krzyż! Jezus nie ześle nikomu krzyża. Wyjaśnia natomiast, że kto chce pójść za Nim, ten powinien przyjść do Niego z całą swoją rzeczywistością, a więc także ze swoimi słabościami, cierpieniami i krzyżami. Warunkiem pójścia za Jezusem nie jest doskonałość, lecz realizm, czyli pójście za Nim ze wszystkim, co nosimy w sercu, a zatem również z tym, co nas boli i z krzyżami, jakie sami sobie nakładamy czy jakie nakładają na nas inni ludzie.

Skoro Bóg jest niewinny i nie zsyła nam tego, co bolesne, skoro Jezus chce, by Jego radość w nas była i by radość nasza była pełna (por. J 15,11), to w takim razie pojawia się pytanie o źródło cierpienia i tego, co nazywamy krzyżem. Pytanie to jest zasadne i nurtuje ludzi wszystkich czasów i każdego kolejnego pokolenia. Odpowiedź, jakiej na to pytanie udziela chrześcijaństwo, jest jednoznaczna: głównym źródłem cierpienia jest człowiek, gdy – jak Adam i Ewa – nie słucha Boga, a także szatan, na ile ulegają mu poszczególni ludzie i całe społeczeństwa.

Każdy grzech nieuchronnie prowadzi do bolesnych konsekwencji. Bóg przestrzega nas przed grzechem właśnie dlatego, że nie chce, byśmy

skazywali samych siebie na cierpienie. Przykładem cierpienia wynikającego z grzechu jest historia marnotrawnego syna. Ów syn nie był karany przez ojca, ani przez innych ludzi. On sam sobie zsyłał cierpienie w postaci głodu, osamotnienia i poniżenia. Cierpienie, którego doświadczamy na skutek popełnianego przez nas zła, jest nam potrzebne po to, byśmy mogli się zastanowić i zmienić dotychczasowy, błędny sposób postępowania. Niestety, nie wszyscy ludzie wyciągają wnioski z cierpienia, które sami sobie zadają. Niektórzy brną w jeszcze większe zło, a winę za swoją dramatyczną sytuację przypisują niewinnemu Bogu. Gdyby Bóg dokonywał cudów i odbierał nam cierpienie, które sami sobie zsyłamy jako skutek naszych błędów, to wtedy błędzilibyśmy jeszcze bardziej, gdyż po grzechu pierwotnym łatwiej jest czynić zło niż dobro. Po co mielibyśmy czynić trudne dobro, jeśli czynienie zła nie wiązałoby się z cierpieniem?

Gdy ktoś z ludzi krzywdzi samego siebie lub gdy zadaje nam niezawinione przez nas cierpienie, to nie dlatego, że Bóg takie zachowanie dopuszcza, lecz dlatego, że ten człowiek nie słucha Boga, ani się z Nim nie konsultuje. Synowie Józefa, najmłodszego syna Jakuba, nie pytali Boga, czy dopuszcza to, że sprzedadzą brata do niewoli. Podobnie syn marnotrawny w przypowieści Jezusa nie konsultował się z ojcem co do swego odejścia. Moglibyśmy mówić o tym, że Bóg dopuszcza zło w postaci grzechu czy niezawinionego cierpienia jedynie wtedy, gdyby sprawcy tegoż zła konsultowali się z Bogiem i gdyby uzyskali od Niego choćby milczącą zgodę. W rzeczywistości nikt nie otrzymuje od Boga żadnej formy zgody na wyrządzanie komuś krzywdy czy na zadawanie komuś niezawinionego cierpienia. Przeciwnie, Bóg w swoim wcielonym Synu czyni wszystko – do śmierci na krzyżu włącznie – by już nikt z nas nikogo nie krzywdził, lecz by każdy z nas siebie

i bliźnich kochał oraz chronił przed cierpieniem. Nic innego nie jest wolą Boga niż to, byśmy się wzajemnie miłowali na wzór Jego jedynego Syna.

Pojednać się z Bogiem w pełni może jedynie ten, kto uczy się od Stwórcy twardego realizmu. Bóg nie ukrywa przed człowiekiem, że po grzechu pierwotnym nikt z nas nie uniknie cierpienia, bo niektórzy wybierają drogę przekleństwa i śmierci. Jednocześnie przypomina nam o tym, że cierpienie nie jest celem naszego życia. Jest zawsze ciężarem. Czasem niemiłosiernym i nieznośnym. Ono ma sens tylko wtedy, gdy prowadzi do prawdy i miłości, czyli do tego, co uwalnia nas od cierpienia. W pełni jedna się z Bogiem ten, kto już wie, że Bóg czyni wszystko, by Jego radość była w nas i by nasza radość była pełna.

Pojednać się z Bogiem do końca to nie tylko uświadomić sobie, że On nigdy nie jest przyczyną moich cierpień i krzyży. To nie tylko uznać, że w każdej sytuacji Stwórca kocha mnie mocniej i mądrzej niż mógłbym tego zapragnąć w najpiękniejszych nawet marzeniach. Pojednać się z Bogiem w pełni to także uznać, że Stwórca ma we wszystkim rację, że wszystkie Jego przykazania są słuszne, że wszystkie bez wyjątku są naszą mądrością i radością, że one niezawodnie prowadzą do szczęścia doczesnego i wiecznego. Pojednać się z Bogiem to także uznać, że nie jest łatwo kochać nas, grzesznych ludzi, którzy często nie umiemy kochać nawet samych siebie. To uznać, że nie jest łatwo Bogu komunikować miłość do nas właśnie dlatego, że w niektórych sytuacjach obarczamy Go odpowiedzialnością za nasze złe czyny i za krzyże, które sobie nakładamy lub które nakładają na nas ludzie wtedy, gdy nie słuchają Boga. Nie jest łatwo okazywać miłość nam, którzy często wytwarzamy sobie karykaturalny obraz Boga, czasem strasząc się Nim, a innym razem naiwnie się Nim pocieszając. Pojednać się z Bogiem w dojrzały sposób to uznać,



że Stwórca jest wobec nas miłosierny również wtedy, gdy nie wysłuchuje niektórych naszych prośb lub gdy nie kieruje się naszymi wyobrażeniami na temat Jego miłości. Pojednać się z Bogiem to żyć w całkowitym, nienaruszalnym zaufaniu w Jego miłość i w Jego mądrość. To słuchać Boga w każdej sytuacji i za każdą cenę. To trwać w przyjaźni z Nim w każdej okoliczności. To słuchać Go nie tylko bardziej niż innych ludzi, ale też bardziej niż samego siebie: niż swojego ciała, swoich przekonań, swoich przeżyć, pragnień czy aspiracji.

## 2. Pojednanie z samym sobą

Jednym z błogosławionych owoców nawrócenia i pojednania z Bogiem jest pojednanie człowieka z samym sobą. Nie jesteśmy w stanie uwierzyć w Boże miłosierdzie i być miłosiernymi dla bliźnich dopóty, dopóki żyjemy w konflikcie z samym sobą, dopóki odnosimy się do samych siebie z wrogością, dopóki jesteśmy dla samych siebie nie-miłosierni. Kto nie jest pojednany z samym sobą, ten zamienia własne życie w nieznosny ciężar. Trudno przecież cieszyć się własnym istnieniem wtedy, gdy mamy do samych siebie żal za błędy popełnione w przeszłości czy za zło, które popełniamy tu i teraz. Trudno cieszyć się sobą, gdy działamy na własną szkodę, gdy samych siebie krzywdzimy, gdy samych siebie doprowadzamy do rozpacz czy stanów samobójczych. To właśnie dlatego najpierw potrzebujemy pojednania z Bogiem. Gdy doświadczamy – jak marnotrawny syn, który powraca – że Bóg nie wypomina nam naszej najbardziej nawet złej przeszłości, lecz okazuje czułość i radość z tego, żeśmy się ocalili, to wtedy zaczynamy być zdolni do przyjęcia samych siebie w podobny sposób.

Każdy z nas potrzebuje pojednania w relacji do samego siebie przynajmniej z trzech ważnych powodów.

Po pierwsze dlatego, że każdy z nas czasem albo wręcz często krzywdzi samego siebie. Żadne zwierzę nie wyrządzi sobie krzywdy. Żadne zwierzę nie doprowadzi siebie do uzależnień, do rozpacz czy do samobójstwa. Jedynie człowiek potrafi wyrządzać szkodę samemu sobie. Dzieje się tak wtedy, gdy źle korzystamy z wolności, którą Bóg nas obdarzył. Zamiast błogosławieństwa i życia wybieramy wtedy przekleństwo i śmierć. W sposób wręcz drastyczny krzywdzimy samych siebie wtedy, gdy rezygnujemy z naszych ideałów i aspiracji, gdy łamiemy własne sumienie, gdy wpadamy w uzależnienia, gdy stajemy się niewolnikami grzechu, gdy oddalmy się od Boga czy od tych ludzi, którzy nas szczerze i dojrzałe kochają.

Człowiek potrzebuje pojednania z samym sobą nie tylko dlatego, że czasem krzywdzi siebie, lecz również dlatego, że krzywdzi innych ludzi. Zło, które wyrządzamy naszym bliźnim, obciąża nieuchronnie nasze sumienie i powraca do nas w postaci niemiłych, a czasem drastycznie bolesnych konsekwencji. Zło wyrządzone przez nas innym ludziom wcześniej czy później obraca się przeciw nam samym. Jeśli to zło jest poważne i wyrządzone przez nas długofalowo, to ono ogromnie nas niepokoi i radykalnie niszczy nasze więzi z innymi osobami, poczynając od więzi z najbliższymi. Zło, którego się dopuszczamy w odniesieniu do bliźnich, powoduje w nas ogromne napięcia emocjonalne, natrętne myśli, poważne obawy o nasz los doczesny i o wieczne zbawienie. Nie jest łatwo żyć i w miarę normalnie funkcjonować wtedy, gdy ktoś słusznie żywi do nas głęboki żal, gdy przez nas gorzko płacze, gdy musi wzywać na nas policję, gdy już nam nie ufa, gdy w uzasadniony sposób czyni nas odpowiedzialnymi za swoje cierpienie. Ciężko jest nam żyć wtedy, gdy stajemy się dla kogoś przekleństwem i ciężarem, zamiast być błogosławieństwem i wsparciem.

Po trzecie, każdy z nas potrzebuje pojednania z samym sobą dlatego, że w niektórych sytuacjach pozwala się krzywdzić przez innych ludzi. Jeśli ktoś krzywdził mnie wtedy, gdy byłem małym dzieckiem czy nastolatkiem, to mam żal wyłącznie do krzywdziciela, bo przecież nikt z ludzi nie ma prawa krzywdzić drugiego człowieka. Nie mam natomiast wtedy żalu do samego siebie, gdyż jako ktoś niepełnoletni nie byłem w stanie skutecznie bronić się przed krzywdzicielem. Jeśli jednak krzywdził mnie ktoś wtedy, gdy byłem już starszym nastolatkiem czy gdy jestem dorosłym, to mam nie tylko żal do krzywdziciela, ale też odczuwam słuszny w tej sytuacji żal do samego siebie o to, że pozwoliłem się krzywdzić, że okazałem się naiwny, że nie wyciągałem wniosków z niemiłosiernego nieraz postępowania innych ludzi. Ten żal do samego siebie jest szczególnie bolesny wtedy, gdy w mojej naiwności czy bezradności pozwalałem się krzywdzić przez całe lata czy nawet dziesięciolecia, nie broniąc się w rozsądny sposób i nie podejmując wysiłku, by zmienić sytuację, która stała się dla mnie nieznośna.

Co powinienem zrobić z tym potrojnym żalem do siebie o to, że sam siebie krzywdziłem, że krzywdziłem innych ludzi i to się teraz na mnie mści, a także o to, że pozwalałem się krzywdzić przez tych, którzy mnie dręczyli, zamiast kochać. Otóż w takiej sytuacji powinienem naśladować miłosiernego Boga, który przebacza mi i który pomaga mi żyć w nowy, mądry i radosny sposób. Być miłosiernym wobec samego siebie to przebaczyć sobie minione błędy i grzechy, wyciągając z nich stanowcze wnioski na tu i teraz, by do tych błędów i grzechów już nigdy nie powracać. Pojednanie z samym sobą nie polega zatem na przyznaniu sobie racji. Pojednać się ze sobą nie znaczy też zaakceptować siebie takim, jakim jestem. Przeciwnie, punktem wyjścia w okazywaniu miłosierdzia

samemu sobie jest uznanie konieczności radykalnej przemiany samego siebie po to, by już nie krzywdzić bliźnich, by nie pozwalać na to, aby inni mnie krzywdzili i by nie być już nieprzyjacielem w odniesieniu do samego siebie. Okazać sobie miłosierdzie to uznać bolesną prawdę o własnych błędach i grzechach z przeszłości, przebaczyć sobie popełnione w przeszłości zło, jednak pod warunkiem, że do tego zła już nie powracam.

Dojrzałe przebaczenie samemu sobie tego, co boli mnie we mnie i w mojej dotychczasowej historii, wymaga uznania faktu, że odnosi się ono jedynie do złej przeszłości, bo tej nie jestem już w stanie zmienić. Przebaczenie samemu sobie nie może mieć natomiast w żadnym przypadku odnosić się do mojej terażniejszości, jeśli nadal czynię zło, które mnie niepokoi i które rani moją więź z samym sobą. Teraźniejszość jestem bowiem w stanie zmieniać. Nie muszę tu i teraz pozostawać niewolnikiem bolesnej przeszłości i trwać w tym, co złe. Z tego właśnie powodu nigdy nie wolno mi przebaczać sobie złej terażniejszości. Jedynym lekarstwem na terażniejszość, która mnie niepokoi, jest natychmiastowe nawrócenie. Nie istnieje w tym względzie żadne inne lekarstwo. Kto grzeszy i nie nawraca się, ten jest dla samego siebie niemiłosierny. Ktoś taki nie będzie w stanie pojednać się ze sobą dopóty, dopóki zła przeszłość będzie jego terażniejszością, czyli dopóki nie przestanie popełniać błędów z przeszłości.

W dążeniu do pojednania z samym sobą trzeba wystrzegać się dwóch niezwykle niebezpiecznych, destrukcyjnych wręcz, bo skrajnych postaw. Pierwsza skrajność polega na tym, że ktoś nie przebacza sobie błędów z przeszłości, chociaż już się nawrócił. Ktoś taki jest okrutny dla samego siebie, gdyż odbiera sobie nadzieję na lepszą przyszłość, zadręcza siebie, nie przyznaje już sobie prawa

do dobrej terażniejszości i do odzyskania radości życia. Ktoś taki niepotrzebnie i bezlitośnie zadręcza samego siebie. Tymczasem Jezus nie chce, byśmy siebie zadręczali, lecz byśmy się nawracali i sobie przebacжали to zło, które jest już przeszłością. Druga skrajność to pobłażliwość wobec samego siebie. To sytuacja, w której człowiek wprowadzie przebacza sobie minione błędy, lecz nadal do nich powraca i w dalszym ciągu wyrządza te same krzywdy sobie i bliźnim. Nic mi to nie da, że sobie przebaczam, jeśli nadal czynię zło. Pozostaję wtedy na drodze przekleństwa i śmierci. Być mądrze miłosiernym w odniesieniu do samego siebie i zachować szansę na pojednanie z samym sobą może tylko ten, kto uczy się na swoich błędach z przeszłości i kto stawia sobie mądre wymagania tu i teraz. Warunkiem zamknięcia złej przeszłości jest wymaganie od siebie dobrej terażniejszości. Pojednać się ze sobą może jedynie ten, kto odciął się od grzesznej czy z innego powodu bolesnej przeszłości, czyli ten, kto tu i teraz kieruje się Dekalogiem, prawdą, miłością i odpowiedzialnością, kto zło z przeszłości zwycięża dobrem czynionym w terażniejszości.

Warunkiem dojrzałego pojednania z samym sobą jest pokonanie zarówno pokusy bycia okrutnym wobec siebie, jak też pokusy pobłażania sobie i przebaczenia sobie zła, którego nadal się dopuszczam. Zwykle łatwiej jest nam być w dojrzały sposób miłosierdnymi dla innych ludzi niż dla samych siebie z tego powodu, że w relacji do samego siebie przeżywamy wyjątkowo intensywne stany emocjonalne, które prowokują nas do postaw skrajnych. Jedynie wtedy, gdy w obliczu naszych słabości i grzechów naśladujemy miłosierną miłość Boga wobec człowieka, mamy szansę nie być dla samych siebie ani ludźmi okrutnymi, którzy siebie zadręczają, ani bezkrytycznymi i pobłażliwymi, czyli takimi, którzy

naiwnie przebaczą sobie popełnione zło, mimo że nadal to zło popełniają i mimo że nadal nie wyciągają wniosków ze złej przeszłości.

Jednym z poważnych źródeł trudności w dojrzałym przebaczeniu sobie i w mądrym pojednaniu z samym sobą jest źle uformowane sumienie i związane z tym przeżywanie poczucia winy w zaburzony sposób. Sumienie prawe i dobrze uformowane upomina nas, ale nie zadręcza. Ono mobilizuje nas do zmiany złej przeszłości, ale nie prowadzi do zadręczania siebie z powodu popełnionych przez nas błędów i grzechów. Podobnie poczucie winy, przeżywane dojrzałe, wyraża się poprzez smutek i żal, który pomaga nam w stanowczym dystansowaniu się od złej przeszłości i w uczciwym zażośćuczynieniu tym ludziom, których żeśmy skrzywdzili. Natomiast wypaczone sumienie albo jest niewrażliwe na zło, które popełniamy, albo przeciwnie – widzi zło wszędzie, czyli także tam, gdzie go nie ma. W pierwszym przypadku nie uznajemy w ogóle potrzeby przebaczenia sobie grzesznej przeszłości, bo ze wszystkiego naiwnie się rozgrzeszamy, a w przypadku drugim zadręczamy siebie skrupułami i przesadnymi wyrzutami sumienia, które sprawiają, że stajemy się więźniami przeszłości i nie mamy siły, by żyć mądrze i uczciwie w terażniejszości.

Poważna trudność w przebaczeniu sobie i w zamknięciu złej przeszłości ma miejsce wtedy, gdy ktoś ocenia swoje minione zachowania w oparciu o obecny stan sumienia czy o tu i teraz osiągnięty stopień świadomości i wrażliwości moralnej. Człowiek dojrzały wie, że sumienie – podobnie jak prawo – nie działa wstecz. Obecny sumieniem powinniśmy oceniać nasze obecne, ale nie nasze przeszłe czyny. Klasyczny przykład niepotrzebnego zadręczania siebie to sytuacja kobiety, która w przeszłości dopuściła się aborcji i nieraz przez dziesiątki lat zadręcza samą siebie z powodu zabicia



własnego dziecka. Nie uwzględnia przy tym faktu, że w tamtym czasie nie wiedziała jeszcze z taką jak obecnie oczywistością, iż w fazie rozwoju prenatalnego człowiek jest człowiekiem. Oceniając swój zły czyn, nie bierze też pod uwagę drugiego ważnego faktu, a mianowicie tego, że ojciec jej dziecka szantażował ją psychicznie i na różne sposoby nalegał, aby zgodziła się na aborcję. Niemiłosierny dla samego siebie jest ten, kto obecnym stanem sumienia ocenia swoje złe czyny, które popełnił wtedy, gdy jego sumienie nie było jeszcze tak uformowane i wrażliwe, jak teraz. Dopóki trwa ten stan, dopóty dojrzałe pojednanie z samym sobą pozostaje niemożliwe.

Inną jeszcze przeszkodą w przebaczeniu sobie i w pojednaniu z samym sobą bywa chora duma. Chodzi tu o taką postawę wobec samego siebie, która sprawia, że wymagam od siebie nadludzkiej wręcz doskonałości czy że ulegam pokusie perfekcjonizmu. Człowiek kierujący się taką chorą dumą, a przez to wyolbrzymionymi i nierealnymi oczekiwaniami wobec samego siebie, nie chce uznać faktu, że ma prawo być kimś niedoskonałym i że nie był w stanie od początku swego istnienia dysponować takim rozróżnieniem między dobrem a złem czy taką mądrością, jaką osiągnął wraz z upływem lat w oparciu o kolejne doświadczenia życiowe, którymi nie mógł dysponować poprzednio. Nie pojedna się ze sobą ten, kto ulega perfekcjonizmowi, czyli przekonaniu, że ma do wyboru jedynie dwie możliwości: albo będzie kimś doskonałym, albo ma wręcz obowiązek być nieszczęśliwym i zadręczać samego siebie z powodu najmniejszej choćby słabości czy niedoskonałości.

Pojednać się ze sobą jest w stanie jedynie ten, kto ma świadomość, że nie jest kimś doskonałym, bo nie jest Bogiem i że po grzechu pierworodnym z reguły łatwiej jest mu czynić zło niż dobro. Pojednać się ze sobą potrafi tylko ten, kto przyznaje sobie

prawo, by odnosić się do siebie z miłością, mimo rozgoryczenia samym sobą i zanim stanie się kimś dojrzałym, niż był dotąd. Pojednanie z samym sobą blokuje natomiast ten, kto uważa, że najpierw powinien się radykalnie zmienić, a dopiero wtedy będzie miał prawo pokochać siebie i przebaczyć sobie złą przeszłość. Pojednać się ze sobą to przyjąć samego siebie z miłością, pomimo słusznego przecieź żalu i pretensji, jakie każdy z nas w określonych sytuacjach słusznie żywi do samego siebie. Jezus wzywa nas do tego, byśmy kochali także nieprzyjaciół. To oznacza, że powinniśmy kochać samych siebie nawet wtedy, gdy w jakiejś fazie życia odnosimy się do siebie tak, jak wróg czy nieprzyjaciel. Pojednać się ze sobą potrafi ten, kto wie, że w relacjach międzyludzkich, a zatem także w relacji do samego siebie obowiązuje zasada: najpierw miłość, a następnie rozwój i dojrzałość. Jedynie ten nieprzyjaciel, który doświadcza, że jest kochany, ma szansę się zmienić i przestać być nieprzyjacielem. Zasada ta dotyczy również tego nieprzyjaciela, którego od czasów Adama i Ewy każdy człowiek nosi w samym sobie.

Pełne pojednanie z samym sobą oznacza coś więcej niż tylko przebaczenie sobie złej przeszłości, czyli wybaczenie sobie tego, że w przeszłości krzywdziliśmy siebie, że sprowadzaliśmy na siebie bolesne konsekwencje krzywd, jakie wyrządzaliśmy naszym bliźnim czy że pozwalaliśmy się krzywdzić przez innych ludzi. W pełni pojednany ze sobą jest ten, kto w pogodny sposób pogodził się z faktem, że żyje, że bez własnej wiedzy i zgody został „wrzucony” w ten świat, że urodził się w tej konkretnej rodzinie i w tym konkretnym domu, w tym państwie i w tym czasie, że ma takie właśnie cechy fizyczne, psychiczne i duchowe, że chodził do tych szkół, że spotkał takich właśnie kolegów i znajomych, że otrzymał takie wychowanie i zdobył takie wykształcenie, że związał się

z tymi konkretnymi ludźmi i że jego obecna sytuacja egzystencjalna jest taka, a nie zupełnie inna, jaką tu i teraz mógłby sobie wymyśleć czy wymarzyć. Kto jedna się ze sobą w tym najgłębszym wymiarze, ten nie musi wmawiać sobie, że wszystko w nim samym, w jego historii i w jego relacjach międzyludzkich mu się podoba. Chodzi natomiast o to, by nie prowadzić wojny z samym sobą. Pojednać się ze sobą to przyjąć bez buntu prawdę o własnej przeszłości i teraźniejszości. To nie tracić energii i siły na pytanie o to, dlaczego taka właśnie była moja przeszłość i dlaczego taka właśnie jest moja obecna rzeczywistość, lecz to skupić się na pytaniu o to, jakie wnioski wyciągam z przeszłości i co dobrego mogę uczynić ze skarbem mego człowieczeństwa w teraźniejszości.

### 3. Pojednanie z bliźnimi

Potrzebujemy pojednania z drugim człowiekiem w dwóch różnych sytuacjach życiowych, a mianowicie wtedy, gdy kogoś skrzywdziliśmy oraz wtedy, gdy sami zostaliśmy przez kogoś skrzywdzeni. Co mamy uczynić w tym pierwszym przypadku, czyli w sytuacji, w której to my potrzebujemy miłosierdzia od kogoś, wobec kogo byliśmy niemilosierni? Otóż w takim przypadku nie wolno mi iść do skrzywdzonej przeze mnie osoby i żądać czy prosić, by mi przebaczyła i by już nie wracała do przeszłości. Taka postawa z mojej strony byłaby przejawem arogancji oraz wyrazem lekceważenia zła, które wyrządziłem. Jeśli kogoś skrzywdziłem, to powinienem teraz wymagać czegoś od samego siebie, a nie żądać przebaczenia od bliźniego, którego skrzywdziłem.

Jeśli chcę, by skrzywdzony przeze mnie człowiek przebaczył mi wyrządzone mu zło, to powinienem do niego pójść z mojej inicjatywy, a nie dlatego, że nie mam co jeść, gdzie mieszkać, czy że ściga mnie policja. Mam pójść

do tego człowieka nie po to, by go o coś prosić, lecz po to, by z bólem opisać zło, którego się dopuściłem, by szczerze za to zło przeprosić i by za to zło zacząć wynagradzać – w sposób konkretny i wielkoduszny. Jeśli pożyczyłem pieniądze, to oddaję. Jeśli okłamywałem, to mówię, jaka jest prawda. Jeśli stosowałem przemoc, to teraz okazuję miłość, życzliwość, serdeczność. Jeśli zdradzałem, to teraz jestem wierny w przezroczystry sposób. Jeśli powodowałem cierpienie, to teraz wnoszę w życie tej drugiej osoby radość i nadzieję. Muszę zatem najpierw spełnić warunki, by skrzywdzony przeze mnie człowiek był skłonny mi przebaczyć.

W przypowieści o dłużniku (por. Mt 18,21-27) Jezus wyjaśnia, że winowajca poszedł do swego wierzyciela, padł na kolana, opisał swoje winy i dopiero wtedy błagał o cierpliwość, by mógł spłacać swój dług w ratach. W obliczu takiej postawy dłużnika wierzyciel darował mu cały dług. Uczynił to jednak dopiero wtedy i ani sekundy wcześniej. Jeśli zatem chcę doświadczyć miłosierdzia i przebaczenia ze strony tych, których skrzywdziłem, to powinienem najpierw nawrócić się i zacząć kochać. Dopiero wtedy będę w stanie pójść do skrzywdzonego przeze mnie człowieka z rzeczywiście szczerym żalem i kierowany miłością, a nie egoistycznym pragnieniem, by wyrządzone zło uszło mi „na sucho”.

Konieczne jest to, bym nie tylko uznał moje winy, które zaciągnąłem wobec bliźniego i bym szczerze za te winy przeprosił. Niemniej konieczne jest to, bym opisał kategorie krzywd, jakie wyrządziłem bliźniemu. Dopiero wtedy dla skrzywdzonego przeze mnie człowieka stanie się jasne, że wreszcie dotarła do mojego sumienia świadomość zła, jakiego się dopuściłem. W tej dziedzinie grożą dwie skrajności. Skrajność pierwsza to ucieczka w ogólniki, typu: „przepraszam za to, że między nami różnie

bywało". Tego typu ogólnikowe stwierdzenie to ucieczka od prawdy o moich winach. Równie groźna jest skrajność druga, czyli szczegółowe opisywanie z detalami krzywd, jakich się dopuściłem. Jeśli, dla przykładu, jakiś mąż stosował przemoc wobec żony czy ją zdradzał, a teraz się radykalnie zmienił, to wręcz nie powinien opisywać szczegółowo sposobów, w jakich dawniej dręczył żonę czy szczegółów związanych z jego małżeńskimi zdradami. Takie szczegóły dodatkowo raniłyby bowiem tę osobę, którą pragniemy przeprosić. Chodzi tu zatem o wyliczenie kategorii wyrządzonych krzywd, bez wchodzenia w szczegóły. To wystarczy, by krzywdzona przeze mnie osoba widziała, że się zmieniłem i że zrobiłem uczciwy rachunek sumienia.

Kto dotąd krzywdził, ten przyznawać krzywdzonej osobie prawo do weryfikacji jego nawrócenia. Nie można oczekiwać zmian w relacjach międzyludzkich jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dla przykładu, jeśli mąż oszukiwał żonę i prowadził podwójne życie, to teraz nie tylko powinien się radykalnie zmienić, ale też powinien przyznać żonie prawo do kontrolowania go i do sprawdzania tego, co czyni wtedy, gdy jej nie ma obok. Dla przykładu, powinien umożliwić żonie dostęp do swojego komputera, do swojej korespondencji e-mailowej, do swoich stron na portalach społecznościowych czy do swojego telefonu komórkowego. Podobnie ten, kto wychodzi z uzależnienia alkoholowego powinien rozumieć, że jego bliscy – a zwłaszcza matka, żona czy córka – potrzebują wielu miesięcy, a czasem nawet wielu lat, by znowu mu zaufać. Odzyskanie zaufania jest zwykłe długim procesem. Bywa on utrudniony tym, że krzywdzona dawniej osoba może teraz poczuć się bezpieczna i zacznie odreagowywać swoje cierpienia doznane w przeszłości. Dla przykładu, żona trzeźwiejącego alkoholika może wypominać mężowi to, co jest

już tylko jego bolesną przeszłością. Ma ona tendencję do tego, by zrzucać na męża odpowiedzialność za wszystko, co do tej pory było bolesne w ich małżeństwie i rodzinie. Także za to, co w rzeczywistości nie było jego winą. W takiej sytuacji trzeźwiejący alkoholik ma prawo, by bronić się przed obciążaniem go odpowiedzialnością za nieswoje winy. Powinien jednak empatycznie wczuwać się w ciągle jeszcze bolesne przeżycia żony i zachowywać pogodę ducha. Trud pojednania ze skrzywdzoną osobą to jedna z nieuniknionych konsekwencji niemiłosiernego sposobu postępowania krzywdziciela w przeszłości.

Jeśli uczciwie spełnię wszystkie wyżej opisane warunki, by pojednanie ze skrzywdzoną przeze mnie osobą stało się możliwe, a mimo to bliźni nie będzie chciał mi przebaczyć i pojednać się ze mną, to ja i tak wchodzę już na drogę nawrócenia i zbawienia. Jestem bowiem odpowiedzialny za moją postawę wobec człowieka, którego skrzywdziłem, a nie za jego reakcję na moje nawrócenie, na moje przeprosiny i na mój trud wynagradzania za popełnione przeze mnie zło. Na końcu życia doczesnego Jezus nie spyta mnie o to, czy otrzymałem przebaczenie ze strony tych, których skrzywdziłem, lecz o to, czy przestałem ich krzywdzić i czy zacząłem kochać (por. Mt 25,31-46). W sytuacji, gdy nie chce mi przebaczyć i pojednać się ze mną ktoś, kogo przeprosiłem i kogo już nie krzywdzę, lecz kocham, to wtedy mam podstawy do niepokoju o los takiej osoby, gdyż okazuje się ona ztwardziała, a przynajmniej niedojrzała emocjonalnie. Ktoś taki nie naśladuje miłosiernego ojca, który urządził święto pojednania natychmiast, gdy tylko marnotrawny syn wraca przemieniony i gdy szczerze przeprosza.

Pełnia pojednania z osobą, którą dawniej krzywdziłem, ma miejsce wtedy, gdy się nawróciłem, gdy z serca przeprosiłem, gdy ofiarnie wynagrodziłem

za popełnione zło, gdy tu i teraz odno-  
szę się do tej osoby z miłością i gdy ona  
ze swojej strony odzyskuje do mnie za-  
ufanie, gdy okazuje mi swoją radość  
z mojej przemiany życia, gdy na różne  
sposoby komunikuje mi wdzięczność  
za dobro, które czynię w teraźniejszo-  
ści. Taka pełnia pojednania jest moż-  
liwa w praktyce, a nie tylko w teorii.  
Pewien mężczyzna opowiedział mi  
o tym, że przed laty bezlitośnie krzyw-  
dził swoją żonę, wikłając się w romans  
z inną kobietą. Po pewnym czasie  
radykałnie nawrócił się, powracając  
do życia w miłości, wierności i uczciwo-  
ści małżeńskiej. Odtąd zaczął kochać  
swoją żonę jeszcze bardziej niż przed  
popadnięciem w kryzys. Jego małżon-  
ka była obecna przy tej rozmowie. Mia-  
ła w oczach łzy wzruszenia i z wielką  
radością potwierdziła, że teraz czuje  
się kochana i wspierana przez męża  
zdecydowanie bardziej niż kiedykol-  
wiek wcześniej. Nawet wtedy, gdy po-  
jednanie osiągnie taką pełnię, bolesne  
wspomnienia z przeszłości mogą się  
jeszcze pojawiać – zarówno u tego,  
kto był krzywdzony, jak i u tego, kto  
krzywdził. Jednak takie wspomnienia  
szybko przemijają i nie mają destruk-  
cyjnego wpływu, ani władzy nad nami,  
gdyż radość teraźniejszość jest dla nas  
zdecydowanie ważniejsza niż naj-  
bardziej nawet bolesna przeszłość.

Wbrew pozorom pojednanie z tymi,  
którzy mnie skrzywdzili, okazuje się  
zwykle bardziej skomplikowane niż  
pojednanie z tymi, których ja skrzyw-  
dziłem. Gdy to ja jestem krzywdzicie-  
lem, wtedy niemal cała odpowiedzial-  
ność za proces pojednania spoczywa  
na mnie, a kroki, które powinienem  
podjąć, są jasno określone. W takiej  
sytuacji mogę dokładnie uświadomić  
sobie wszystko to, co powinienem  
zrobić. Natomiast w przypadku, gdy to  
ja jestem krzywdzony, zdecydowanie  
większa odpowiedzialność za naprawę  
zaburzonych relacji spoczywa na tej  
drugiej osobie. W tym przypadku pole  
działania z mojej strony jest wyraźnie

mniejsze. Zwykle łatwiej jest nam prze-  
praszać niż przyjmować przeprosiny.  
Zwykle też łatwiej jest nam odnaleźć  
się w sytuacji, w której rezultat podję-  
tych wysiłków zależy głównie od na-  
szego działania niż w sytuacji, w której  
inicjatywa powinna należeć do kogoś  
innego.

Zadaniem tego, kto został skrzyw-  
dzony, jest ustrzeżenie się postaw  
skrajnych. Pierwsza skrajność to sta-  
wanie się niemiłosiernym wobec  
krzywdziciela. W skrajność tę popa-  
dają ci, którzy deklarują, że nigdy  
nie przebaczą swoim krzywdzicielom.  
Nie przebaczą nawet wtedy, gdy krzyw-  
dziciele spełnią z nawiązką wszystkie  
warunki pojednania. Taka postawa  
jest przejawem okrucieństwa i zatwar-  
dzałości tych, którzy wcześniej zostali  
skrzywdzeni. Teraz oni stają się krzyw-  
dzicielami. Krzywdzą przede wszyst-  
kim samych siebie, gdyż stają się nie-  
wolnikami bolesnej przeszłości i spra-  
wiają, że ich teraźniejszość jest nie-  
miłosierna. Pierwszą zatem skrajność  
to brak miłosierdzia. Drugą skrajność  
można nazwać niemiłosiernym miło-  
sierdziem, a dokładniej niemiłosiernie  
naiwnym miłosierdziem. W skrajność  
tę popadają ci, którzy nie tylko w sercu  
przebaczają krzywdzicielowi, ale też  
mówią mu o tym i okazują mu zaufanie,  
mimo że on nie zmienia się, nie prze-  
prasza, nie wynagradza, lecz nadal  
krzywdzi.

Koniecznym warunkiem dojrzałej  
postawy wobec krzywdziciela i uczy-  
nienia wszystkiego, co tylko z naszej  
strony możliwe, by doszło do poje-  
dnania, jest najpierw pojednanie z sa-  
mym sobą. Nie będę w stanie poje-  
dnać się z ludźmi, którzy mnie krzyw-  
dzili, jeśli tu i teraz krzywdzę samego  
siebie. Jeśli w moim obecnym życiu  
mam poważny żal o coś do samego  
siebie, jeśli przeżywam niepokój i ból  
w kontakcie z samym sobą, to wtedy –  
zwykle nieświadomie – dążę do tego,  
by podtrzymywać napięcie w relacjach  
z innymi ludźmi. Mniej bowiem boli

przekonanie, że oto cierpię z winy bliżnich niż uznanie prawdy, że tu i teraz cierpię przede wszystkim z mojej własnej winy.

Ilustracją powyższej zasady może być postawa studentki, która poprosiła mnie o rozmowę. Opowiedziała o tym, że kilka lat temu zmarł jej ojciec-alkoholik, który dręczył ją i jej matkę. Stwierdziła, że ma ogromny żal nie tylko do zmarłego ojca, ale też do żyjącej matki, gdyż matka próbowała za wszelką cenę usprawiedliwiać pijaństwo męża, a swoje cierpienia i napięcia emocjonalne odreagowywała na jedynej córce. Moja rozmówczyni wyjaśniła mi, że w wakacje ma zamiar pojechać z akademika do rodzinnego domu i po raz pierwszy otwarcie wykrzyczyć matce swoje bóle i pretensje. Wtedy spytałam studentkę o to, jak wygląda jej obecne życie. Zareagowała zmieszaniem, a po chwili wyznała, że zaniedbała studia, że ma do zaliczenia dwa zaległe egzaminy i że od pół roku uwikłała się w więź z mężczyzną, który ją krzywdzi, a ona mimo to nie potrafi z nim zerwać. Wyjaśniłem wtedy tej młodej kobiecie, że jeśli przed wyjazdem na wakacje solidnie przygotowuje wszystkie egzaminy i natychmiast rozstanie się z mężczyzną, który zadaje jej cierpienie, wtedy znacznie się cieszyć życiem tu i teraz, a przez to stanie się gotowa do dojrzałej rozmowy z matką na temat bolesnej przeszłości. Jeśli sama będzie dojrzała i szczęśliwa, to pojedzie do domu już nie po to, by na matce odreagować swoją złość, uwarunkowaną w dużym stopniu popełnianymi tu i teraz własnymi błędami, lecz po to, by powiedzieć matce o tym, że ją kocha i że już rozumie, jak trudno jest kobiecie bronić się przed mężczyzną, który krzywdzi zamiast wspierać.

W jaki sposób powinienem postępować wobec krzywdziciela, jeśli odróżniam miłosierdzie od naiwności i jeśli pojednałem się już z samym sobą, gdyż moje postępowanie tu i teraz jest zgodne z wolą Boga?

Otóż moim pierwszym zadaniem jest nadal kochać krzywdziciela. Uczeń Jezusa nie wycofuje miłości do nikogo. Kocha także krzywdziciela, gdyż miłość jest bezwarunkowa. Oznacza to, że osoba przez nas kochana nie musi na miłość zasługiwać. Nikogo nie wolno szantażować wycofaniem miłości. Na nikim też – choćby był największym krzywdzicielem – nie wolno się mścić. Ojciec z przypowieści Jezusa nie przestał kochać swego marnotrawnego syna, ani nie mścił się za to, że syn zlekceważył jego miłość i zadał mu niewyobrażalne cierpienie.

Uczeń Jezusa nie przestaje zatem kochać krzywdziciela i nigdy się nie mści. Trzecim zadaniem tego, kto został skrzywdzony, jest przebaczenie krzywdzicielowi minionych krzywd. Chodzi o przebaczenie, które dokonuje się w naszym sercu i na razie nie jest komunikowane krzywdzicielowi. O tym, że przebaczyliśmy naszemu winowajcy zło wyrządzone w przeszłości, mówimy Bogu, spowiednikowi i może komuś z naszych bliskich czy przyjaciół. Czy i ewentualnie kiedy powiemy o tym również samemu krzywdzicielowi, zależy nie od nas, lecz od jego postawy. Nic mądrzejszego niż odcięcie się od bolesnej przeszłości nie możemy uczynić wobec tego zła, które już ktoś nam zadał. Jeśli nie zdobędziemy się na przebaczenie w sercu minionych krzywd, to teraz będziemy zadawać cierpienie sami sobie, rozdrapując stare rany i ciągle na nowo przywołując bolesne wspomnienia.

Jeśli krzywdziciel, którego nie przestaję kochać, na którym się nie mszczę i któremu przebaczyłem w sercu minionie krzywdy, nie nawraca się, lecz nadal błądzi i w dalszym ciągu próbuje mnie krzywdzić, to tu i teraz mam prawo stanowczo się przed nim bronić. W skrajnych sytuacjach mam prawo wzywać policję, skierować sprawę do sądu, a nawet zdecydować się na separację małżeńską, gdy krzywdzicielem okazuje się małżonek. W sercu



przebaczam krzywdzicielowi, choćby się jeszcze nie nawrócił. Jednak zakomunikuję mu to moje przebaczenie wtedy, gdy spełni warunki, jakie Jezus ukazuje we wspomnianej już wcześniej przypowieści o dłużniku i wierzycielu.

Pojednanie z krzywdzicielem może mieć miejsce dopiero wtedy, gdy winowajca przyjdzie do mnie z własnej inicjatywy, gdy opisze zło, które mi wyrządził, gdy szczerze przeprosi, gdy – przemieniony i nawrócony – zacznie z własnej woli wynagradzać za krzywdy, których się dopuścił. Dopiero wtedy mogę powiedzieć, że w sercu przebaczyłem mu już dawno. Nie mogłem jednak tego zakomunikować wcześniej, gdyż komunikowanie przebaczenia komuś, kto nadal usiłuje mnie krzywdzić czy kto nie uznaje jeszcze swoich win, nie byłoby przejawem Bożego miłosierdzia, lecz ludzkiej naiwności. Jezus kochał także krzywdzicieli, a mimo to bronił się przed nimi, gdyż nie chciał, by stawali się jeszcze większymi krzywdzicielami. Dla przykładu, nie pozwolił, by stracili Go ze skały tam, gdzie nauczał (por. Łk 4,28-30). Ukrywał się przed tymi, którzy chcieli Go zabić (por. J 8,59; J 11,54). Bronił się przed Annaszem i Kajfaszem (por. Mk 14,62; J 18,19-21), a także przed Piłatem (por. J 18,33-38; J 19,11-12). Bronił się też przed żołnierzem, który Go uderzył (por. J 11,23). Obrona przed krzywdzicielem jest wyrazem dojrzałej miłości, gdyż daje szansę na to, że krzywdziciel nie stanie się jeszcze większym krzywdzicielem i że nie zaciągnie jeszcze większej winy. Im więcej ma ktoś ofiar na sumieniu oraz im dłużej krzywdzi innych ludzi, tym łatwiej może popaść w rozpacz, gdy wreszcie ruszy go sumienie i tym trudniej będzie mu się nawrócić, gdy postanowi zmienić swoje postępowanie. To właśnie dlatego obrona przed krzywdzicielem jest nie tylko przejawem naszej miłości do samych siebie i do tych, którym krzywdziciel

zadaje cierpienie, ale to także przejaw dojrzałej miłości do krzywdziciela. W obliczu naszej stanowczej obrony ma on bowiem szansę zastanowić się, nawrócić i uratować siebie przed rozpaczą czy wiecznym potępieniem (por. Mt 26,64; Mk 14,48-49).

Pojednanie z człowiekiem, który dopuścił się zła wobec mnie, oznacza zatem wybaczenie mu w moim sercu krzywd i win, które wyrządził mi w przeszłości i stanowczą obronę z mojej strony przed kolejnym złem w teraźniejszości. Czy będzie oznaczać coś więcej, to już zależy od postawy winowajcy. Jeśli któregoś dnia uzna on swój błąd, jeśli się nawróci i zacznie wynagradzać za wyrządzone mi zło, to pojednanie oznaczać będzie nie tylko przebaczenie mu jego minionych win, ale też stopniowe obdarowywanie go coraz większym zaufaniem i wdzięcznością tu i teraz. Jeśli natomiast błędzący nadal będzie próbował nas krzywdzić, to powinniśmy przebaczyć w sercu zło, które już nam wyrządził, ale tu i teraz mamy prawo się przed nim stanowczo bronić. Nie chcemy przecież, by ten, kto wyrządza nam krzywdy, stał się jeszcze większym krzywdzicielem niż dotąd.

W postawie wobec samych siebie i bliźnich powinniśmy naśladować Boga, który jest miłosierny, ale nie jest nigdy naiwny. Bóg jest mądrością, a nie naiwnością. Jeśli mylimy miłosierdzie z pobażaniem złu czy z rozpieszczaniem krzywdziciela, to jesteśmy niemiłosierni dla tych bliźnich, którzy błędzą, gdyż ułatwiamy im trwanie na złej drodze życia. Naszym zadaniem jest naśladowanie Boga, który w swym mądrym miłosierdziu przebacza nam za każdym razem, gdy się nawracamy i zaczynamy kochać, ale nie komunikuje nam swego przebaczenia dopóty, dopóki trwamy w złu. W przeciwnym przypadku Bóg nie mobilizowałby nas do nawrócenia i nie pomagałby nam w stawaniu się świętymi, czyli podobnymi do Niego.

## Zakończenie

Każdy z nas czasami kogoś krzywdzi lub jest przez kogoś krzywdzony. To właśnie dlatego po grzechu pierworodnym życie bez miłosierdzia czy bez gotowości do przebaczenia i pojednania stałoby się piekłem na ziemi. Błędem jest jednak przekonanie, że miłosierdzie polega jedynie na przebaczeniu tym, którzy się nawracają i na jednaniu się z tymi, którzy uznają swoje winy i wynagradzają za wyrządzone krzywdy. To najważniejsza, najtrudniejsza i najbardziej błogosławiona forma miłosierdzia dla tych, którzy zbłądzili. Nie jest to jednak jedyna forma miłosierdzia.

Miłosiernej miłości potrzebujemy wszyscy i to każdego dnia. Naśladowanie miłosiernego Boga na co dzień oznacza okazywanie miłości od rana do wieczora, gdyż w ten sposób najlepiej chronimy samych siebie i innych ludzi przed wszelkimi formami niemiłosierdzia oraz przed wszelkimi zranieniami w relacjach międzyludzkich. To właśnie dlatego „zwykła”, codzienna miłość jest szczytem miłosierdzia w realiach tej ziemi. Gdy na co dzień odnosimy się do samych siebie i bliźnich

z miłością, gdy sobie i innym pomagamy wzrastać w mądrości i łasce u Boga i u ludzi, gdy ostrzegamy siebie i bliźnich przed zagrożeniami, gdy kochamy także nieprzyjaciół, a jednocześnie mądrze bronimy się przed krzywdzicielami – także przed tym krzywdzicielem, którego nosimy w naszym wnętrzu – to wtedy stajemy się ludźmi miłosiernymi w błogosławiony sposób.

Miłosiernym wobec bliźnich jest ten, kto kocha tak, jak Jezus pierwszy nas pokochał. Czyni bowiem wtedy wszystko to, co od niego zależy, by jego bliscy i inni ludzie, których spotyka, wybierali drogę błogosławieństwa i życia. Najbardziej miłosierny jest ten, kto pomaga sobie i bliźnim stawać się kimś świętym, czyli kimś, kto tak postępuje, że w coraz mniejszym stopniu potrzebuje miłosierdzia i pojednania. W błogosławiony sposób miłosierni są ci, którzy trwają przy Bogu i wzrastają w Jego miłości. Stają się wtedy podobni do syna z przypowieści Jezusa, który to syn nie jest już marnotrawny, lecz nawrócony i powracający. Komuś takiemu Bóg natychmiast urządza święto pojednania i nigdy nie wspomina najstraszniejszej nawet przeszłości.

*Ks. dr Marek Dziewiecki – psycholog, wykładowca Wyższego Seminarium Duchownego w Radomiu, dyrektor Radomskiego Telefonu Zaufania „Linia Braterskich Serc”.*